

Byłam najmłodsza w rodzinie, nikogo nie namawiałam do wyjazdu, jednak moja decyzja wpłynęła na losy wielu ludzi. Moja najbliższa rodzina, i kilka zaprzyjaźnionych rodzin, również postanowili opuścić Polskę i wyjechać do Szwecji.

**Wspomnienie
Marii Aspt
STRONA 4-5**



Moja droga do Szwecji



Dziennik letni

Daleki jestem od teorii spiskowych, ale nie mam wątpliwości, że wokół nas działają (świadomie lub przez głupotę) ruscy agenci wpływu. Od wielu miesięcy poprzez swoje wpisy na Facebooku, pewien mój znajomy z dawnych czasów, powtarza dyrdymały głoszone przez Brauna i mu podobnych, że to nie "nasza wojna". STRONA 3



Zapiski

W Polsce się przedwyborczo kotłuje i wszystko co się rusza nabrało politycznych kolorów.
Refleksje Andrzeja Szmilichowskiego. s.2

amadental

AMA DENTAL
nowoczesne centrum stomatologii w Sztokholmie. Naszą misją jest zapewnienie pacjentom najwyższej jakości naszych usług dentystycznych z zachowaniem maksymalnego komfortu oraz mitej i przyjaznej atmosfery.

ZAPRASZAMY!

☎ **073-7348537**
Skarabacken 11, 121 48 Johannessov
info@ama-dental.se | www.ama-dental.se
ZAPRASZAMY!



GABINET DENTYSTYCZNY

pogotowie bólowe
konsultacje, chirurgia, protetyka,
diagnostyka,
higiena, usuwanie kamienia,
wybielanie - stomatologia
zachowawcza z endodoncją



Eurotand klinik

Nynäs väg 319

122 34 ENSKEDE

Tel: **08 284 482**

Mobil: **0720 22 55 80**

eurotand@gmail.com

Pomoc w nagłych wypadkach



I MÅNKARBO AB

Sprzedż wędlin i mięsa wieprzowego (póltusze), baraniny i dziczyzny.

Mięso szwedzkie od okolicznych rolników i myśliwych.

Produkcja wędlin według polskich receptur i rozbiór we własnej ubojni w Szwecji.

Dowóz na adres na terenie Sztokholmu i Uppsala län. Wysyłka DHL na teren całej Szwecji.

www.mankarbocharkuteri.se
info@mankarbocharkuteri.se



© CC0 Public Domain

ANDRZEJ SZMILICHOWSKI

Zapiski

Spacer i smutne reminiscencje na temat czasu obecnego. Mam wrażenie i chciałbym się mylić, że ludzie podprogowo tracą wiarę w naukę i postęp, po prostu w cywilizację. Tracą, ponieważ będąc tacy sami, czasem trochę lepsi a czasem gorsi, przestają wierzyć, że postęp dla ich dobra, a szczególnie postęp moralny, jest możliwy.

Wybuchły i padały wojny, powstawały i padają podobno uzdrawiające duchowo religie, ale natura ludzka zmieniała się minimalnie. Poczęliśmy wierzyć w naukę i tak popychaliśmy do przodu (?) nasze cywilizacje, aż dopchnęliśmy tę ostatnią do dnia dzisiejszego. To znaczy do czasów, kiedy dotarło do naszej świadomości i kiedy zorientowaliśmy się, że nie potrafimy ratować siebie i przyrody, która na naszych oczach umiera, a nad naszymi głowami szybują czarne nietoperze utraconych nadziei.

Pozytywiści podobno odpowiadają za racjonalny praktycyzm, romantycy zaś za (gorąco popieraną, lecz nie zawsze stosowaną) wartości moralne. Emocjonalnie skłaniam się ku romantykom, rozum każę opowiedzieć się za racjonalizmem, a w międzyczasie rosną hałdy śmieci, przybywa składowisk beczek z niebezpiecznymi chemikaliami i umiera rzeka Odra.

Trzeba robić co się da, ochraniać co się da, i tak ratować, a najbardziej to, co się nie rzuca w oczy, co oznacza walkę o rzeczy mało efektowne, a których brak prowadzi prostą drogą do zagłady biologicznej. Instynktownie czuję niebezpieczeństwa, które otaczają nas zewsząd coraz ciasniejszymi pierścieniami.

Nocą folguję sobie i filozofuję na temat prawd życia oraz nieuniknionej śmierci, bo nie mogę zasnąć. Nie boję się śmierci – naprawdę się jej nie boję, ale lękam się tego wszystkiego, co śmierć poprzedza. Upokorzenia chorobą i niedołęstwem w jej i Boga obliczu. Czy wszystko, w ogóle wszystko co wokół, może oznaczać, że Bóg przegrał i odpuścił? Ale chciałbym wiedzieć, czy został pokonany przez siły zła, czy może tylko wypuścił im nasz świat w dzierzawę? Podział dobro – zło miałby nam wystarczyć na wszystko? A gdzie miłość? Marzyłbym żeby miłość, po trzech wymiarach przestrzennych i czasie, była piątym i najistotniejszym wymiarem naszego świata.

Mówi się, że zawsze dobrze jest poczekać. Kiedy masz wszystkiego dość i pochylasz się przy jakimś rowie albo gdziekolwiek, żeby się wyrzygać. To rzygaj, pomoże ci! Tylko potem trzeba poczekać aż minie szum w głowie, aż się wszystko uspokoi a myśli ustoją. Mówi się, że to własne grzechy nas napadają, żadne tam złe siły, i że trzeba się nauczyć z nimi rozmawiać. Więc posłusznie chcesz rozmawiać, ale okazuje się, że nie ma z kim.

Mówi się coraz głośniej, że w ogóle nie ma grzechu i nigdy nie było. Że grzech to wymysł chłodnych watykańskich głów, i że jest sprytnym mykiem wykombinowanym jako instrument ułatwiający sprawowanie władzy. Innymi słowy mówiąc, grzech jest pałą służącą do okładania owieczek!

Tak mi dziś przyszło, że snuję gorzkie egzystencjalne myśli. Świat spopielalał i poszarzała, życie jakże krótkie i mało ważne jest, a tu pycha wokół śmieszności zarozumiałstwem i pewnością siebie. Wychodzi na to, że życie przypuszczalnie jest metaforą tylko i niczym innym. Jakby przystankiem na drodze wszechświata ku... Jesteśmy drobnymi ułameczkami czegoś nieznanego, a się mozolimy z myślami, że jeszcze tylko trochę (czasu?), a do gigantów należeć będziemy!

Życie byłoby o wiele znośniejsze, gdybyśmy nie podlegali bezustannym próbom charakteru i woli. Urodziłem się z bliźniaczej ciąży, co oznacza, że odniosłem zwycięstwo nad tym drugim. Zwycięstwo opłacone jego życiem, a jednocześnie będące gwarancją mojego. Moje dzieciństwo, moje całe życie, mogło upłynąć razem z tym kimś, ale tak się nie stało. Czyja w tym ręka, bo pomimo podejrzeń chyba nie moja?

*

Na amerykańskich uniwersytetach (i nie tylko tam) od lat istnieją popularne kursy *creative writing*, co mylnie moim zdaniem sugeruje, że pisarstwa można się nauczyć, że pisanie jest zawodem jak każdy inny. Uważam, że jeśli nawet spore grono ludzi na świecie żyje z pisania książek, tego nie można się nauczyć. W każdym razie nie słyszałem dotychczas o światowej karierze poprzedzonej kursem nauki pisarstwa dla początkujących.

Można się nauczyć poprawnej składni, zasad konstrukcji powieści czy noweli, dyscypliny formy, ale nic z tego nie będzie, jeśli nie ma czego w te formy włożyć. A jeśli nie ma, pomimo starań, forma będzie pusta jak gipsowy odlew. To „coś” nazywane jest silną osobowością, a dla mnie to po prostu dar boży – talent.

Piszę te słowa w oczekiwaniu na „Fragment większej całości”, moją, jak przeczuję ostatnią książkę, która lada moment ukaże się w sztokholmskim Wydawnictwie Polonica Tadeusza Nowakowskiego.

*

W Polsce się przedwyborczo kotłuje i wszystko co się rusza nabrało politycznych kolorów. Jedni są za „tymi”, drudzy za „tamtymi” i tak tworzą się – na wzór ukraińskiego zboża – grupy „techniczne”, które prócz pospolitego wrzasku nie przynoszą żadnych wymiernych konkretów. Ujawniają się tylko postawy,

Najnowsza książka Andrzeja Szmilichowskiego „Fragment większej całości” ma oryginalną formę. Jest utkana ze wspomnień, okrucich autobiografii, snów, wierszy, przeżyć wizyjnych, doświadczeń w pracy jasnovidza. To niejasne i grząskie podłoże dostarcza autorowi tematów do rozmowy z samym sobą i pretekstów do oceny swych dawnych i obecnych poglądów.



Wydawnictwo Polonica
stron 206
ISBN 978-91-87704-93-2
Cena: 149 SEK
Zamówienia: polonica@polonica.se

WYDAWNICTWO
POLONICA

tendencje, emocje, a to oznacza „kto się z kim, na krótko i dla wiadomych efektów brata”, załatwiający przy okazji swoje egzystencjalne (w gruncie rzeczy to dla wielu najważniejsze) sprawy. W praktyce idzie oczywiście o windowanie jednych, a skreślanie drugich. Napięcie w Kraju ogromne i sympatycy opozycji boją się jakichś prowokacji ze strony bloku rządowego, działającego pod biskupimi błogosławieństwami i słabnącą *capo di tutti capi* Jarosława Kaczyńskiego.

Strasznie dużo się dzieje. Tak dużo, że nie nadążam, bowiem przekraczam moją zeszwedziałą wyobraźnię. Od bez mała ośmiu lat stale jakieś prowokacje i nieustanne szczucie jednych na drugich. Pisze mi przyjaciel z lat młodzieńczych Jurek K., że u nich w Vancouver konsul powiedział głośno, że nie lubi Rydzyka (jaki to ojciec?) i wyleciał z roboty! Nigdy by mi nie przyszło o głowy, że Polacy mogą być tak niepojęcie cierpliwi, że zamiast rypnięcia tym wszystkim porządnie o ziemię, tak szybko się przyzwyczaili.

Na półce książka o Korczaku. Otwieram na chybił trafił i czytam. *Powiedziałem kiedyś opuszczającym internet: – Nie dajemy wam Boga, bo go sami odszukać musicie we własnej duszy, w samotnym wysiłku. Nie dajemy wam Ojczyzny, bo ją odnaleźć musicie w samotnym wysiłku własną pracą serca i myśli. /.../ Dajemy wam jedno – tęsknotę za lepszym życiem, które kiedyś będzie za życiem prawdy i sprawiedliwości.*

Człowiek stale za czymś tęskni i to jest jego wielki skarb oraz wielka siła. Ci, co nie znają uczucia tęsknoty, nie oznacza, że złe mają życie – ale na pewno uboższe je mają.

*

Przeszłość kusi mnie i odstręcza. Daje wiele, choćby siły, żeby znieść dzisiaj – a może i jutro. Brnę w przeszłość niechętnie, bo jakoś nie potrafisz porządnie i sprawiedliwie dla mnie samego, z nią się rozliczyć. Chciałoby się ją (przeszłość) kochać, ale to prawie niemożliwe, zaś przyszłości nie da się kochać, bo za co? Pozostaje teraźniejszość, a z nią kłopoty tylko, więc siedzę, tłukę w komputerowe klawisze i tyle z tego mam. Pewnie na pocieszenie, przypomniło się mi niedawno czytane wspomnienia o Marcelu Prouście. Dusila go astma, ponieważ powiew przeciągu rozrzucający mu stale kartki papieru. A on nic – tylko ścigał swój miniony czas. Może tak właśnie los ma się spełniać? Rzeka nie wie, że płynie, a płynie przecież?

*

Pogoda świetna. Akurat taka, jaka powinna być w sierpniu. Dziś grałem z Per'em przeciw Anders'owi i Bosse. Wpieprzyliśmy im, ale było ciężko, 7 – 5 w trzecim secie. Tenis to dziwna gra we wszystkich wymiarach. Pewności co do tego nie mam, ale wygląda na to, że władze tenisa zmieniły w ostatnich latach dotychczasowe wymiary kortu – jest coraz większy! Lato z wolna, z namysłem i powoli, dobiega końca.

Moje osiemdziesiąte szóste lato i znowu przyszło mi czekać! Mam tego powyżej uszu, ale to już oczywiście nie o tenisie. Mam dość kłamliwej polskiej rzeczywistości, która przelewa się jak skisła zupa i płami wszystko wokół. Czekam kiedy Polska powróci w tory zwykłego, normalnego, a niechby i nudnawego europejskiego państwa, ale okazuje się, że nawet o to minimum niełatwo.

Kiedyś był imperializm i czyhał wróg – dziś czyha Niemiec, Rusek i ryży facet. Śmieszne to i głupawe tak, że można by ze śmiechu pęć, gdyby to nie była, cytując klasyka, brutalna okazywa rzeczywistość. Walkę partii z ludźmi o innych poglądach, uważam za lżącą. Nie cierpię presji i piętowania, bo to forma uzurpatorstwa, ale ciągle mnie zastanawia zadziwiający brak wyczucia. Im – to znaczy PiSowi, wydaje się, że tylko działanie *par fors* jest jedynym skutecznym sposobem.

Nie znam się na tym wszystkim, ale wydaje mi się, że z oślim uporem, kurczowo i celowo, rozdmuchują nawet najdrobniejsze sprawy. Nie rozumiem jakie czerpią z tego korzyści, prócz merkantylnych oczywiście, czyli jak zawsze walka o dostęp do koryta. Piszę te słowa bez żółci, ale z silną niechęcią. To nawet nie jest rzeczywistość i prawa dżungli. Dżungla to jednak majestat, a jesteśmy świadkami gorączkowego podgrzania, w panicznej perspektywie utraty kontaktu z cykiem.

Boże zaopiekuj się tym krajem 15 października 2023 roku! A jeszcze bardziej opiekuj się nim po wyborach. Mam nadzieję, że wygrają partię opozycyjną, ale boję się chaosu pierwszych stu dni.

Andrzej Szmilichowski

Dziennik letni

Bydgoszcz. Moje rodzinne miasto, chociaż w nim mieszkałem zaledwie pierwsze 2 lata życia. Bywam w nim teraz częściej niż kiedykolwiek wcześniej, może ze względu na sentyment, odległość od przystani promowej w Gdyni i na mieszkającą tam rodzinę. W Warszawie, gdzie mieszkałem, nie pozostał już nikt, tylko groby, także małe już grono znajomych, w tym mój najbliższy przyjaciel. Teraz za każdym razem odkrywam Bydgoszcz na nowo, konfrontując moje wspomnienia z dawnymi lat z tym, co widzę teraz. Fascynujące miasto, pełne nieznanymi mi wcześniej zaułków i miejsc, jak chociażby park w Myślęcinku, gdzie nigdy we wcześniejszych latach nie bywałem. Olbrzymi teren, w miarę zagospodarowany, fantastyczny ogród botaniczny. Szkoda jedynie, że linia tramwajowa kończy się zbyt daleko od centrum parku.



Chodzę po Bydgoszczy i szukam starych szlaków, które przemierzałem jako dziecko razem z babcią, która tam mieszkała. Z Lubelskiej na Plac Poznański, później Poznańską w kierunku Długiej, czasami przez Rynek w kierunku Gdańskiej i na Libelta, gdzie mieszkały siostry babci. Lubelska nieco się zmieniła – chociaż niewiele, Plac Poznański w zupełnie innym układzie komunikacyjnym stał się ruchliwym miejscem, niezbyt przyjemnym. Poznańską i równoległą Grudziądzką mknie sznur samochodów, nie ma już starych sklepów, które pamiętam z dzieciństwa. Codzienny szlak z babcią prowadził z warzywniaka na Placu Poznańskim do intensywnie pachnącej piekarni na Poznańskiej i nieco dalej do mięsnego. Później szliśmy do pasmanterii, którą prowadziła siostra babci – Hela, na kawę. Pasmantaria znajdowała się na początku Długiej bardzo blisko Wełnianego Rynku. Też już pasmanterii w tym miejscu nie ma.

Długa się zmieniła, pamiętam, że jeździły tam tramwaje, była pełna sklepów. Teraz zamiast sklepów przede wszystkim knajpy. Na Długiej czuje się jakiś niedosyt, bo chociaż zachowała swój charakter dość wąskiej, niezbyt wysoko zabudowanej ulicy

wielkomięskiej, to jednak czegoś tutaj brakuje. Widać to szczególnie w tym roku - wiele sklepów (zwłaszcza od Poznańskiej) świeci pustymi witrynami, czekając na nowych najemców.

Życie przeniosło się na drugą stronę zabudowy, na Wyspę Młyńską. Kiedyś było to zaniedbane i dzikie miejsce, w czasach mojej młodości tam, gdzie dzisiaj stoi Opera Bydgoska, rozstawiał karuzele objazdowy lunapark, który dzisiaj ze względu na wymogi bezpieczeństwa, nie miałyby prawa funkcjonować. Wtedy nikt o tym nie myślał.

Poruszam się między chaotyczną Grudziądzką, szarą Poznańską, pustą Długą ku Rynekowi. Jest pierwsza połowa czerwca, turystów jeszcze niewielu, głównie wycieczki szkolne. Stary Rynek, choć nie jest przytulny, to jednak ma swój urok. Dzisiaj to jedno z najważniejszych miejsc w Bydgoszczy, a nowa, utrzymana w stylu zabudowa narożnika w kierunku Mostowej, dobrze wpisuje się w sylwetkę miasta. Kiedyś stał tu obrzydliwy pawilon baru Kaskada.

Gdańska zmieniła się niewiele, częściowo odnowiono fasady, począwszy od Jagiellońskiej aż po Plac Wolności jest jedną z najruchliwszych ulic Bydgoszczy. Z babcią szliśmy na ukos przez Plac, później Gimnazjalną w kierunku Libelta. Ja podczas mojej letniej wędrowki, koło dawnego Be-De-Te (czyli po wojnie Domu Towarowego Jedynak) skręcałem w Dworcową. Od dawna planowałem, że przejdę całą ulicę aż do dworca, dopiero tego lata udało mi się to. Na początku sporo sklepów i dość duży ruch, ale im bliżej dworca tym szybciej ulica zamiera. Kiedyś jeździły tędy tramwaje, dzisiaj ruch samochodów jest ograniczony - nie ma tramwajów, nie ma też i życia. Zmarnowany kawałek miasta.

Mieszkam w hotelu poza centrum miasta, tym razem daleko, bliżej lotniska. Nigdy w tej części miasta nie byłem wcześniej. Podobnie jak w innych podbydgoskich rejonach, i tutaj dominują lasy, co nadaje miastu specyficzny charakter. Ta bliskość przyrody sprawia, że Bydgoszcz jest miastem "klimatycznym".

Zakupy w małym supermarkecie Netto w Białych Błotach. Dwa lata temu zainicjowano tutaj akcję "W Białych Błotach wszyscy mówimy dzień dobry". Takie banderole zawisły w wielu miejscach tej podmiejskiej osady. Ekspedientka w kasie, gdy kładę produkty, nie podniosła na mnie wzroku, cała procedura zakupów odbyła się bez słów. Pani była wyraźnie zmęczona i znudzona życiem. W rogu sklepu kiosk z gazetami. Stałem przy okienku, ekspedientka w średnim wieku, ze wzrokiem utkwionym w blat i zajęta pisaniem czegoś, nie podniosła wzroku. Stoję minutę, dwie – żadnej reakcji. Odchodzę więc. Wiem, że już nigdy w tym sklepie nie będę robił zakupów. W Białych Błotach wszystkim mówię "au revoir".

W hotelu oglądam "Wiadomości". W Szwecji nie mam polskiej telewizji, zresztą TVP i tak bym nie oglądał. Wiem, że narażę się na durną propagandę pisowską, ale chcę na własne oczy i uszy przekonać się, czy jest tak źle, jak o tym czytałem. Nie, nie jest źle – jest znacznie gorzej. Akurat natrafiłem na relację ze Szwecji, gdzie reporter szwecyjskiej TVP, przygotował relację z Malmö o serii zabójstw i strzelanin w Szwecji w pierwszej połowie czerwca tego roku. Raportaż tendencyjny, wpisujący się w antyimigracyjną retorykę PiS. Pełen półprawd i manipulacji. Czytam w komentarzu:

W jednoznacznie negatywny sposób telewizja publiczna buduje wizerunek uchodźców z krajów Afryki i Bliskiego Wschodu. Przepelnione ludźmi łodzie (często tonące w drodze) przedstawiane są jak armia najeźdźców. Migranci zaś pokazywani są wyłącznie w trakcie rozruchów, gdy atakują służby porządkowe i demolują ulice. Jeżeli kamera robi zbliżenie, to na twarze wykrzywione we wrogich lub złośliwych grymasach i ręce rzucające kamieniami oraz pokazujące obraźliwe gesty.

Reporter-manipulant z "Wiadomości" dokładnie trzyma się tego schematu. Na ekranie widzimy płonące samochody, rzucających kamieniami imigrantów, jest oczywiście wszystkiemu winni Merkel i Tusk – jednym słowem pomieszanie z poplątaniem. Bo mimo strzelanin (w tym czasie głównie) w Sztokholmie (a relacja jest z Malmö – zapewne ze

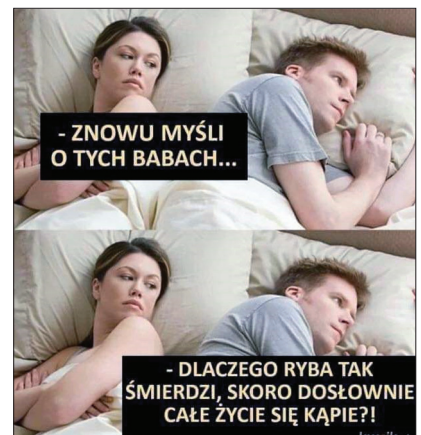
względów oszczędnościowych reporterowi szwecyjskiej TVP było bliżej) nikt samochodów nie podpalał. Dodatkowo zabrakło informacji, że strzelaniny mają inny charakter – gangsterskich porachunków. Liczy się jednak granie na emocjach, a nie fakty.

W europejskim sondażu oceniającym zaufanie społeczeństwa do mediów, Polska o dziwo nie znajduje się na szarym końcu (jakby można oczekiwać), a w górnej części tabeli. Mediom ufa 40% Polaków. Na czele są państwa skandynawskie, w Finlandii mediom ufa 77% społeczeństwa, w Norwegii 61%, w Szwecji 60%. O dziwo w Albanii 72%. Najgorzej jest w Grecji, Turcji, Francji i Wielkiej Brytanii, gdzie mediom ufa zaledwie 18%. I to mimo tego, że mają chwaloną za rzetelność i profesjonalizm BBC, a także *Financial Times*. Ale też *The Sun* i *Daily Mirror*...

Wakacje w Polsce, więc od polityki nie można uciec. Prezes prezesów, teraz wicepremier Nadpremier, Jarosław K. na wiecu (gdzieś) woła: "Chcemy odzyskać Polskę!". W jednym z komentarzy z wiecu czytamy: "Znowu żeście ją stracili????!! Dzień Swistaka".

Jest drogo i będzie drożej. Tanie wakacje w Polsce to już historia, szczególnie gdy przelicza się ceny na korony szwedzkie. Za schabowy, który do tej pory kosztował ok. 25-35 złotych dzisiaj trzeba zapłacić 45-55 złotych, co przy słabej koronie szwedzkiej daje ok. 140 koron. Do tego picie, ewentualnie sałatka... W Szwecji za lunch płacimy od 110 do 140 koron. Badając stan gospodarek różnych krajów, porównuje się rozmaite współczynniki, jednak mało który wskaźnik mówi więcej niż tak zwany „Indeks McDonald's”. Popularny zestaw Big Mac & Co w Polsce kosztuje (przy obecnym kursie korony szwedzkiej) ok. 85 koron, a Szwecji podobnie – 89 koron. Tylko pensje trzymają się lepiej w Szwecji... Z powodu inflacji droższe jest wszystko, jedynie żywność wciąż tańsza i wybór towarów nieporównywalnie większy niż w Szwecji.

Zaskakujący hotel w Gdyni, a raczej Rumii. Okazuje się, że i w Polsce można znaleźć miejsce do wypoczynku na bardzo dobrym, światowym poziomie za stosunkowo dobrą cenę (uwzględniając standard). Nie ma oczywiście mowy by znaleźć coś za cenę podobną do tych sprzed 2-3 lat, ale usługi hotelarskie podrożały wszędzie. W hotelu baseny dla dzieci na zewnątrz i wewnątrz, zjeżdżalnie, również baseny w podziemiu hotelu, SPA z tężniami, suchymi i normalnymi saunami, grota solna, jacuzzi – wszystko w cenie noclegu, ręczniki bezpłatne. Do tego sala bowlingowa, pokój dla dzieci z gramami komputerowymi, duża hala do zabaw dla dzieci, codziennie organizowane zajęcia dla najmłodszych, przestronna jadalnia z bogatym i urozmaiconym śniadaniem - można dokupić również bufet wieczorny. Wszędzie czysto, uprzejmy personel, bezpłatny parking. W sadzawkach przed hotelem, a także przy basenach na zewnątrz i w środku – zółwie. Chyba po raz pierwszy trafiłem w Polsce do takiego hotelu, wcześniej mieszkałem w takich tylko w krajach pozaeuropejskich. No i plaże w Rewie i Michelinkach. I oczywiście sympatyczna Gdynia, szczególnie latem.



Makkartyzm doczekał się już surowej oceny historii, Komisja Tuska miała pójść śladem McCarthy'ego, ale nie jest pewne, czy w ogóle powstanie. Skompromitowała się już na samym początku, a gwóźdź do trumny wbił pełniący obowiązki prezydenta Andrzej D. Jest takie zmontowane zdjęcie, na którym przed Komisją sejmową siedzi Donald Tusk, a ktoś z komisji pyta: – Czy w przeszłości spotykał się pan z rosyjskimi agentami? Tusk odpowiada: – Nie. Dzisiaj pierwszy raz.

dok. na str. 7

Moja droga do Szwecji

Moja droga do Szwecji zaczęła się na początku lat 50-tych. Miałam chyba ze trzy lata, kiedy wróciłam podniecona z przedszkola. – *Mamo, tato, widziałam Żydówkę*, pochwaliłam się zdyszana na progu. Okazało się, że pani przedszkolanka wskazała jakąś kobietę swojej grupie na spacerze i poinformowała nas: – *Tu idzie Żydówka*.

Tata zapytał: – Czy chcesz zobaczyć jeszcze jedną? To podejdź do lustra. Podeszłam i zdumiona powiedziałam, widzę siebie. Tata na to: – Ty jesteś Żydówką. – A ty tato, a mama, a moja siostra? – zapytałam zaniepokojona. Tata odpowiedział że cała nasza rodzina to Żydzi. Potem zaczęłam pytać o paru znajomych – tu również dostałam potwierdzenie. Tak się złożyło, że większość przyjaciół domu to byli Żydzi. Mieli podobne, koszarne doświadczenia z czasów wojny, łatwiej się rozumieli, często zastępowali sobie nawzajem nieistniejące już, wymordowane w czasie wojny, rodziny. Ponieważ większość ludzi w naszym otoczeniu, ciocie, wujkowie, dzieci to byli Żydzi, zrozumiałam, że bycie Żydówką nie jest niczym okropnym i się uspokoiłam.

Tu chcę dodać, że mój tata miał duże szczęście – jeżeli można tak powiedzieć o człowieku, który sam przeszedł przez piekło wojny, ale z bronią w ręku i ratując życie jako lekarz. Mój Tata miał dwóch braci i siostrę, jego ojciec na szczęście zmarł normalną śmiercią przed wojną. Jego matka zginęła w getcie, jak wielu innych. Mój ojciec był w Armii Czerwonej, jego jeden brat był w AK na fałszywych papierach, siostra – która jeszcze przed wojną wyszła za Polaka, oficera polskiej armii i wyglądała jak typowa Polka z obrazka, długie blond włosy, niebieskie oczy – ukrywała się na wsi ze swoją córką, a drugi brat ożeniony z Polką mieszkał w swoim przedwojennym mieszkaniu z żoną i córeczką. Cała kamienica wiedziała kim jest, ale nikt nie ruszył palcem, żeby mu zaszkodzić. Moja mama nie miała takiego szczęścia. Straciła w czasie wojny oboje rodziców i swoich trzech braci. Dwóch było już dorosłych, mieli rodziny, dzieci. Wszyscy zginęli. Jak się wojna skończyła moja mama wiedziała, że jest sama na świecie. Później okazało się, że jej dwie kuzynki też przeżyły wojnę.

Kiedy miałam 6 lat, leżałam w zakaźnym szpitalu chora na dyfteryt. Ponieważ rodzice mieli przyjaciół w Izraelu dostawaliśmy czasem paczki, pomarańcze, długopisy, lalkę, która otwierała oczy. Ta lalka była ze mną w szpitalu. Rodzice odwiedzając mnie zobaczyli, że mam zapłakane oczy, zapytali dlaczego. Odpowiedziałam, że jak dzieci pytały skąd ta lalka, to odpowiedziałam „z Izraela”. Dzieci zaczęły mnie wtedy przezywać. Byłam najmłodszą i najmniejszą na sali, odwracałam się do ściany i płakałam.

Pamiętam mojego nauczyciela polskiego w liceum, który czytał nam na głos swoje pamiętniki, jak pomagał „żydźciom” w czasie okupacji. To sformułowanie brzmiało w moich uszach prawie jak „zwierzęta”. Przeżyłam parę podobnych wydarzeń. Miałam jednak dość dużo szczęścia. Ponieważ nikt w mojej rodzinie

nie miał tzw semickiego wyglądu, nigdy nie zostałam zaczepiona na ulicy czy w tramwaju, a wiem, że zdarzało się moim przyjaciołom.

Zdałam maturę w roku 1967 i poszłam na studia prawa. Jeden z kolegów na roku powiedział pewnego dnia: „Hitler robił jedną dobrą rzecz, szkoda, że mu nie udało się dokończyć”. Podeszłam do tego kolegi i zapytałam, co on ma na myśli? Odpowiedział, że szkoda, że nie udało się Hitlerowi wykończyć wszystkich Żydów. Na to zapytałam, czy on ma ochotę kontynuować. Jeżeli tak, to niech zaczyna ode mnie, bo jestem Żydówką. Spojrzał na mnie zdumiony, przeprosił i od razu zmienił temat. Nigdy więcej nie słyszałam żadnych tego typu odzywek na uniwersytecie. To ukaszenie antysemickiej hydry jednak zapamiętałam.

Dobrze pamiętam Marzec '68, wiece studentów na Uniwersytecie, strajk na Politechnice, nową, odgórnie sankcjonowaną nagonkę na Żydów. Pamiętam protestujących tzw „robotników” z transparentami „Syjoniści do Syjamu” itp. Pamiętam kampanie radiowe.

Pamiętam działalność Milicji Obywatelskiej, o której humor ludowy szybko zaczął mówić MO = Mogą Obić: Ochotnicza Rezerwa Milicji Obywatelskiej – Oni Również Mogą Obić i na koniec Zmotywowane Odwoły Milicji Obywatelskiej = Zwłaszcza Oni Mogą Obić.

Po Marcu '68 przeniesiono moją mamę na przymusową emeryturę – miała wtedy 50 lat. Moja siostra, która właśnie skończyła prawo, nie mogła dostać pracy. Jedna sąsiadka pukała do nas i pytała, kiedy wyjedziemy do Izraela, bo ona by chciała przejąć nasze mieszkanie...

Moi przyjaciele zaczęli wyjeżdżać sami lub z rodzinami. Odbyły się ostatnie wspólne wakacje na Mazurach, bywałam na kolacjach pożegnalnych, odprowadzałam na Dworzec Gdański.

Pamiętam rozmowy rodziców z bliską rodziną i przyjaciółmi – jechać, czy zostać? Rozmowy najczęściej prowadzone były na spacerach, w domu obawiano się podsłuchu telefonów. Nie było jeszcze wtedy możliwości wyciągnięcia kontaktu ze ścianą, był zamontowany na stałe. Czasami kładło się poduszkę na telefonie i dla większej pewności wystawiało go do innego pokoju, przymykało drzwi. Starano się nie używać słowa „Żydzi”, najczęściej mówiono „chłopi”. Jeżeli pogoda nie była do spacerów, a sprawy do omawiania były bardzo drażliwe, to rozmowcy zamiast mówić głośno, pisali pytania i odpowiedzi na karteczkach, które potem spalano w popielniczce. Ludzie bali się własnego cienia.

Dowiedziałam się, że mieliśmy wyjechać do Izraela już w 1956 roku, z okazji poprzedniej czystki, mieliśmy już potrzebne na wyjazd dokumenty, mama jednak w ostatniej chwili postanowiła się wycofać. Wielu przyjaciół rodziny wtedy właśnie wyjechało. Ja miałam wtedy tylko siedem lat i nic mi o tego typu sprawach nie mówiono.

W 1968 roku byłam już dorosła. Podjęłam decyzję i powiedziałam do domu: – Wy róbcie co chcecie, ja wyjeżdżam do Izraela. Po pewnym czasie zdecydowała się na wyjazd także moja mama, potem moja starsza siostra. Tata, były oficer Armii Czerwonej, komunista, wiele razy ranny w czasie wojny, schorowany, nie mógł się zdecydować na tak daleki wyjazd. Powiedział, że może wyjechać, ale tylko do jakiegoś kraju w Europie. W tym czasie wszyscy Żydzi polscy, którzy chcieli wyemigrować, mogli opuścić Polskę jako bezpaństwowcy. Nic prawie nie można było zabrać ze sobą, ale dostawało się „wolność”.

Byłam najmłodsza w rodzinie, nikogo nie namawiałam do wyjazdu, jednak moja decyzja wpłynęła na losy wielu ludzi. Moja najbliższa rodzina, i kilka zaprzyjaźnionych rodzin, również postanowili opuścić Polskę i wyjechać do Szwecji.

Można było wtedy jechać do Izraela (który jest zawsze otwarty dla Żydów) ale także do Danii i do Szwecji. Dlaczego Dania była gotowa nas przyjąć – nie wiem do dziś dnia. Chyba było to poczucie solidarności z ludźmi, którzy – jak Duńczycy – przeżyli okropieństwa wojny i to jeszcze w dużo większym stopniu. Jeżeli chodzi o Szwecję, to myślę, że gryzła ją sumienie za niezbyt ładną postawę w czasie II wojny światowej.

O tym, że większość szwedzkich polityków, rodzina królewska i media miały wtedy sympatie

promienieckie, że studenci medycyny w Uppsali protestowali przeciw ewentualnemu przybyciu garstki żydowskich lekarzy z Niemiec do Szwecji, że żołnierze hitlerowscy przyjeżdżali pociągiem przez Szwecję jadąc na urlop do domu z okupowanej Norwegii, że Szwecja sprzedawała stal do Niemiec, że wypożyczyla im wiele wagonów bydłowych, które w okropnym stanie zostały zwrócone już po wojnie (były używane między innymi do transportu ofiar do obozów koncentracyjnych i obozów zagłady) – dowiedziałam się po wielu latach pobytu w Szwecji. Gdybym wcześniej wiedziała o tym wszystkim, to bym zdecydowanie wybrała Danię.

Wybór padł na Szwecję między innymi dlatego, że kilku przyjaciół mojej siostry już tu było, pisali ciekawe listy i wychwalali Szwecję. Swoje dość sporadyczne pisanie listów tłumaczyli tym, że jeden znaczek pocztowy w Szwecji kosztował tyle, co kilogram bananów. Woleli jeść banany, niż wydawać na korespondencję. I ja ich rozumiem – sama byłam wtedy spragniona bananów i innych owoców południowych.

Mniej więcej w tym okresie pojawiło się na polskich ekranach kilka szwedzkich filmów – zarówno Ingmara Bergmana, jak i Vilgot Sjömana. Przyjechał do Polski szwedzki zespół Ola & the Janglers, od dawna zaczytywałam się książkami Astrid Lindgren, Tove Jansson, Strindberga i Selmy Lagerlöf, które były tłumaczone na polski.

A więc Szwecja. Najpierw zrzeczenie się obywatelstwa, czekanie na dokument podróży.

Cały czas nerwy – dostanie się ten upragniony dokument podróży, czy też nie? Wielu ludziom odmawiano kilkakrotnie, szykanowano bez powodu. Ci, którym odmawiano, zostawali bez środków do życia, już wcześniej wyrzucano ich z pracy w ramach antysemickiej kampanii, albo byli zmuszeni sami się zwolnić. Bez pracy nie mieli często z czego żyć, tu pożyczali, tam dostawali parę groszy – czyli po prostu vegetacja. Dość często z czteroosobowej rodziny – matka, ojciec i dwoje dzieci – najpierw jedno dziecko dostawało dokument podróży, potem jedno z rodziców, drugie dziecko, a drugiemu z rodziców odmawiano. Powody odmowy: rzekome posiadanie ważnych informacji zagrażających bezpieczeństwu kraju.

My mieliśmy szczęście, chociaż nie dostaliśmy pozwolenia na wyjazd jednocześnie, to jednak w krótkim okresie czasu, a więc mogliśmy wyjechać w komplecie. Staranie się o szwedzką wizę, tłumaczenie dokumentów na angielski, poświadczenie autentyczności itd. Wszędzie stanie w kolejkach, znaczki skarbowe, opłaty w nieskończoność, biurokracja na całego i... nerwy.

Zacząło się polowanie na walizki, na ręczniki, serwisy, garnki itd. Wszyscy chcieli zabrać coś ze sobą, kupić za te parę groszy uzyskane za sprzedaż starych mebli, porcelany itd, których nie wolno było nam wywieźć. W jakimś sklepie pojawiły się walizki, w innym niezłe ręczniki, ludzie dzielili się informacją.

Potem clenie marnego dobytku, który pozwalano nam zabrać. Szczegółowe robenie wykazów wszystkiego, co się ze sobą zabiera, aż do ostatniej pary majtek, do ostatniej chusteczki do nosa.

Trzeba było sprzedać parę książek i przedmiotów przedwojennych, jakich nie wolno było nam zabrać. W tym okresie sklepy z antykami były przeładowane artykułami, których wyjeżdżający Żydzi nie mogli zabrać. Świeczniki – siedmioramienne Menory i Chanukije – specjalny ośmioramienny świecznik, używany raz do roku w grudniu ku pamięci cudu w świątyni w Jerozolimie, kiedy oliwa, która powinna była wystarczyć tylko na jeden dzień, paliła się przez osiem dni, srebrne pucharki na wino – te bezcenne, pamiątkowe zazwyczaj przedmioty, które jakimś cudem udawało się przechować w różnych skrytkach w czasie Holocaustu. Jedyną może przedmioty ocalone z domu rodzinnego. To wszystko musieli emigranci zostawić.

Nie wolno było zabierać fotografii przedstawiających ludzi w mundurach, ani notatników z adresami ani żadnych odznaczeń za odwagę w czasie wojny, za dobrą pracę w czasie pokoju. Zarówno zdjęcia, jak i notatniki i odznaczenia, były wysyłane pocztą dyplomatyczną, przez ambasadę.

To, co nam „łaskawie” pozwolono zabrać ze sobą, w urzędzie celnym celnicy wyjmowali wszystko ze skrzyń, brali do ręki każdą część bielizny, porównywali z listą i komentowali. Przyjaciółka moich



rodziców, która miała jechać razem z nami, w pewnym momencie nie wytrzymała, powiedziała celnikowi: – Proszę postawić mnie pod ścianą i zastrzelić, ja już nie mam siły. Wtedy się uspokoili i dalszy przebieg celenia odbywał się już spokojnie.

W końcu nadszedł dzień wyjazdu. Nie mieliśmy przy sobie ani centa, żadnych pieniędzy. Normalnie ludzie wyjeżdżający za granicę mogli zabrać ze sobą 5 dolarów – nam nawet tego nie pozwolono wywieźć. Było trochę ludzi, którzy wkładali kilka dolarów do buta, do kanapki z serem, do słoiczka z kosmetykami. Myśmy nic nie mieli, mama nie chciała ryzykować.

Nas również odprowadzali rodzina i przyjaciele. Dostaliśmy parę butelek wódki, czekoladki, moja przyjaciółka przyniosła mi ogromną tarczę słonecznika, która starczył mi na całą drogę i jeszcze na parę dni w Szwecji. Wspominam ten słonecznik, bo jak przyjechalismy do Szwecji okazało się, że tutaj nie ma słoneczników w sprzedaży.

Podróż odbywaliśmy pociągiem z przesiadką w Berlinie. Na granicy polsko-niemieckiej wtargnęli do przedziału celnicy. Z prawdziwie niemiecką dokładnością zaglądali do każdej walizki, ładowali łapy do każdego słoiczka z kremem, wsuwali bagnety pod siedzenia w przedziale. Niczego oczywiście nie znaleźli, myśmy nic niedozwolonego nie mieli.

Nasz pociąg spóźnił się z Warszawy i, niestety, nie zdążyliśmy na połączenie w Berlinie. Do dziś pamiętam tę upiorną dobę na dworcu, bez grosza przy duszy. Za bombonierki czekoladek mogliśmy iść do ubikacji, za wódkę dawali nam herbatę i coś do jedzenia.

Odważyliśmy się pójść na spacer na miasto po południu. Był piękny słoneczny dzień, niedziela, powinno być dużo ludzi na ulicach. Było jednak pusto, żywej duszy na ulicach nie widzieliśmy, natomiast na domach było dużo ogromnych portretów Ulbrichta, ówczesnego premiera „ludowych” Niemiec.

Do Szwecji dojechalismy w środku nocy następnego dnia. Nikt na nas oczywiście nie czekał, moja mama, która nieźle znała angielski – jeszcze przed wojną uczyła się w prywatnej, dobrej szkole u Metodystów i była dość odważna – podeszła do przechodzącego patrolu policji i opowiedziała o naszej sytuacji. Najbardziej byli zdumieni faktem, że nie mieliśmy ze sobą pieniędzy. Kilka razy pytali: – Czy pani jest pewna, że nie macie ani dolara? Nie mogli zrozumieć, jak to było możliwe, żeby wyemigrować bez grosza przy duszy. Tak niestety było, przecież nam nie pozwolono wywieźć, żadnych pieniędzy. Policjanci zawieźli nas do jakiegoś hotelu i tam przenocowaliśmy. Następnego dnia, w oczekiwaniu na to, aż ktoś po nas przyjedzie, wyszliśmy na miasto i do dziś pamiętam, jakiego szoku doznaliśmy niemalże zaatakowani ogromną masą pornografii, która była wystawiona w oknach kiosków, w sklepach spożywczych. Te obrzydliwe zdjęcia dokładnie pokazujące całą anatomię pań i panów, jak i ciała „w akcji”.

Końcowy punkt naszej odysei stanowił Utlänningsförläggning (Obóz dla cudzoziemców), w Ronneby Brunn. Ronneby to bardzo sympatyczna, letniskowa w zasadzie miejscowość, na południu Szwecji. Teraz znajduje się tam jakiś przemysł i wyższa szkoła, miasteczko funkcjonuje nawet jesienią i zimą. Gdy my znaleźliśmy się tam we wrześniu 1969 roku, Ronneby zaczynało zasypiać snem jesienno-zimowym. Ulokowano nas w ośrodku wypoczynkowym, w dwupiętrowych, drewnianych domkach, pobudowanych wokół hotelu zwanego Ronneby Brunn. W każdym domku umieszczono kilka rodzin. Ja i moja siostra miałyśmy jeden pokój, rodzice dostali osobny pokój na tym samym piętrze. Mogę powiedzieć, że właśnie wtedy zaczęłam swoje samodzielne, a raczej niezależne od rodziców, życie.

W Ronneby zakwaterowano około 100 osób z Polski, był tam również jeden Rumun i kilku Czechów, którzy opuścili Czechosłowację po inwazji krajów Paktu Warszawskiego w 1968 roku.

Zaczęła się – jak ja to w skrócie określałam – jedwabna emigracja. Jedwabna bo łatwa, lekka, przynajmniej na początku. Mieliśmy dach nad głową, nieźle wyposażone pokoje w domkach hotelowych, cztery duże posiłki dziennie, kurs szwedzkiego kilka godzin dziennie w dni powszednie, i kilka koron dziennie na drobne wydatki. Jedzenie w hotelu było smaczne i obfite. Na śniadanie bufet: kawa, herbata, cornflakes, bułeczki, wędliny, sery – można było brać ile się chce. Niektórzy to nadużywali, brali kilka talerzy, więcej niż dawali radę zjeść, a potem wyrzucali. Było mi przykro z tego powodu. Na lunch gorące danie, które nam hojnie nakładano na talerze, mięso albo ryba, kartofle, jarzyny. Wszystko polewano jakimś niewyraźnym brązowym sosem, a więc dość szybko nauczyłam się krzyczeć: „ingen sås”! – „bez sosu”. Moim zdaniem jedzenie bez sosu było smaczniejsze. Na deser były lody lub sałatka owocowa. Nawet deser nakładało się samemu. Późno wieczorem była obfita



kolacja. Niczego nam nie brakowało. Środki czystości, proszek do prania, mydło, pastę do zębów i inne brało się w magazynie koło kancelarii naszego obozu. Tygodniówkę, którą dostawaliśmy, można było wydawać na przyjemności lub odkładać na potem.

Nasz wyjazd z Polski, a zwłaszcza ukończone studia mojej siostry, za które trzeba było zapłacić przed wyjazdem, dość dużo kosztowały. Młodzież wyjeżdżająca po ukończonych studiach musiała płacić za wykształcenie, które im się dość często w życiu już nie przydawało, płacić za dyplomy, które można było tylko powiesić na ścianie jako dekorację.

Mimo że rodzice pracowali po 20 lat w Polsce Ludowej, to nie prawie im się nie udało zaoszczędzić i musieliśmy pożyczyc na wyjazd pieniądze od rodziny i przyjaciół.

Jeszcze będąc w obozie dla uchodźców w Ronneby udało się rodzicom spłacić długi z naszych wspólnych tygodniówek. Jeden kamień spadł nam wtedy z serca.

Właściwie cały czas spędzaliśmy w Ronneby we własnym – polsko-żydowskim śródomiasteczku. Mieszkalismy w tych samych domkach, razem chodziliśmy na kurs i na posiłki. Kontakt z językiem szwedzkim mieliśmy tylko na kursach szwedzkiego i z personelem w hotelu w jadalni.

Początki językowe nie były zbyt łatwe, przerażały nas długie słowa, jak na przykład nasz adres „utläningsförläggning Ronneby Brunn”. (Jak wysyłałismy listy do Polski, spotykał się ten adres z niespokojnymi komentarzami). Poza tym, jeszcze w tamtych czasach, szwedzkie kobiety miały zwyczaj dziwnie wdychać, jakby przez to podkreślając to, co mówiły. Dziwnie to brzmiało i na początku po prostu wydawało się nam, że mówiące kobiety, źle się czują i trzeba je ratować. Trochę czasu potraowało zanim zrozumieliśmy, że to „wdychanie, zachłytywanie się powietrzem” nie sobą nie oznacza, że nie trzeba się przejmować.

Szwedzki jest dość podobny do niemieckiego. Wśród naszej grupy z Polski było kilka osób, przede wszystkim z małych miast, które znały żydowski jeszcze z czasów przedwojennych, albo nauczyły się od rodziców lub w nielicznych szkołach żydowskich już po wojnie.

Te osoby często próbowały sobie pomóc na lekcjach szwedzkiego mówiąc właśnie po żydowsku. Nauczyciel/nauczycielka komentowali: – Proszę pana/panią, tylko nie po niemiecku.

Duże wrażenie zrobiło na nas zetknięcie się z Systembolaget – sklepami monopolowymi, gdzie można było kupić wódkę, wino i mocne piwo. Systembolaget miały ograniczone godziny otwarcia (tylko w dni powszednie), zamknięte były w soboty i, oczywiście, w niedziele i we wszystkie święta, czyli tzw. dni czerwone. Jak się zapomniało kupić wino w piątek, a goście mieli przyjść na obiad w niedzielę, to trzeba było albo szukać na czarnym rynku, albo ewentualnie pożyczyc od znajomych.

We wrześniu 1969 wylądowalismy w Ronneby. W styczniu 1970 zapakowano całą młodzież do autobusu i zawieziono nas do Sztokholmu. Tam dostaliśmy pokoje w nowo otwartym domu akademickim PAX w dzielnicy Solna. Akademik był dość duży, ale my stanowiliśmy może 20% jego mieszkańców. Nadal razem jeździliśmy na kurs szwedzkiego, potem angielskiego, cały prawie czas w akademiku spędzaliśmy razem. Niektórzy, co odważniejsi chłopcy, podrywali szwedzkie dziewczyny, bardzo to innym imponowało, jak chodzili ze Szwedkami. W akademiku było bastu – były godziny tylko dla kobiet, tylko dla mężczyzn i wspólne. Nasi chłopcy chodzili przede wszystkim na te wspólne, oglądając rozebrane Szwedki.

Przeszliśmy kilka szoków kulturowych, o pierwszym – ogromnej ilości wszędzie dostępnej pornografii już wspominałam. Pewna sztokholmska ulica, przy której znajduje się Kościół Klary, prawie przy Dworcu Centralnym, była nazywana Klara Norra Porrgrata (Klara Północna Ulica Pornografii), zamiast Klara Norra Kyrkogata – czyli Północna Ulica Kościelna Klara). Co krok były na tej ulicy sklepy pornograficzne. Na szczęście już wiele lat temu zniknęły.

Inny szok kulturowy, który pamiętam, to surströmming, a właściwie jego zapach, nie do zapomnienia. Wracając do domu do akademika w piękny sierpniowy wieczór i już z daleka uderzył w moje nozdrza ciężki, cuchnący odór zgnitych jaj pomieszany z zepsutą kanalizacją. Zaniepokoiłam się, że coś się dzieje z ubikacjami w akademiku, i zastanawiałam się co robić, jak trzeba będzie wychodzić z domu za potrzebą. Im bliżej domu, tym okropny zapach był coraz wyraźniejszy. Otworzyłam drzwi do kuchni, a tam już była katastrofa zapachowa. Okazało się, że przyczyną tych niemiłych sensacji są małe metalowe puszki z jakąś niewyraźną zawartością – były to filety z niezbyt dobrze zakonserwowanego śledzia. Okazało się, że jest to stary szwedzki delikates, który tubylcy mają zwyczaj zajadać właśnie w sierpniu. Niech sobie mają – ja nigdy nie zdobyłam się na to, żeby spróbować.

Inną tradycją, dla mnie dosyć dziwną, było zajadanie się rakami, najczęściej od połowy sierpnia, kiedy odbywała się tak zwana rakowa premiera. Do tego specjalne talerze, lampy, serwetki, śliniaczki, zabawne kapelusze z papieru. Dzisiaj można kupić raki mrożone sprowadzane z całego świata, kiedyś były tylko szwedzkie, świeże.

Z początku mojego pobytu w Szwecji pamiętam okropny szwedzki chleb – jakaś biała, słodkawa bułka o konsystencji waty, trudna do krojenia i nie bardzo nadająca się do jedzenia. Z desperacji zaczęłam piec chleb, co mi nawet dobrze wychodziło.

Pamiętam czasy, kiedy herbata właściwie w Szwecji nie istniała. Była tylko niezbyt dobra kawa, którą gotowano. Na moich oczach pojawiały się w Sztokholmie pierwsza pizzeria, pierwszy Mc Donalds, pierwsza chińska restauracja, nie mówiąc już o innych tzw. etnicznych restauracjach. Już za moich czasów w Szwecji, zaczęły się pojawiać inne owoce południowe, niż banany i pomarańcze. Mniej lub bardziej egzotyczne warzywa zaczęto sprowadzać w ciągu moich szwedzkich lat. Jak przyjechałam do Szwecji, nie można było tu kupić ani sernika ani makowca – moje dwa ukochane ciasta, inne polskie przysmaki też pojawiły się później.

Pamiętam pudełka z zapalnikami z tamtych czasów, a na pudełkach rysunki wskazujące jak zapalić zapalniczkę, w którym kierunku należy ją otrzeć o pudełko. Pamiętam opakowania rajstop, na wielu opakowaniach kilka rysunków pokazujących w jakiej kolejności należy zakładać na siebie rajstopy. Szwecja zmieniała się na moich oczach, ze spokojnego, cichego, bezpiecznego zaścianka zrobiło się coś innego. Kiedyś można było zapomnieć walizkę czy torebkę na ulicy, przypomnieć sobie później, wrócić i zabrać, bo nikt jej w tym czasie nie ruszył.

Mieszkałam przez pewien czas w akademiku w Kungshamra, niedaleko Ulriksdal, jednego z królewskich zamków. Czasami można było tam spotkać starożytnego króla, który sam sobie spacerował oparty o łaskę. Premier Tage Erlander mieszkał w normalnym wysokim domu z masą innych ludzi dookoła, jeździł do pracy środkami masowej komunikacji i nikt się temu nie dziwił, a potrzeba jakichś ochraniających nie istniała.

Rekruci pełniący wartę koło zamku królewskiego mieli często długie włosy, taka była moda. Żeby włosy im nie zaplątały się w broń palną, którą trzymali albo w mundur, nosili siatki na włosach. Uczniowie mogli palić papierosy w szkole, były nawet do tego specjalne pokoje, palarnie. Wszędzie wolno było palić. Bardzo mnie to dziwiło i denerwowało. Nie było natomiast mowy o tym, żeby wino serwowano w operze, w teatrze czy filharmonii. Teraz można, w każdym razie w czasie przerwy.

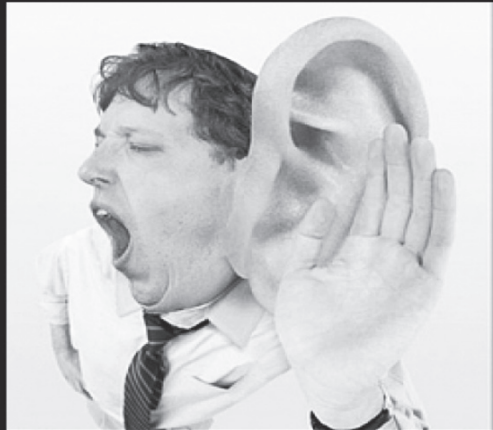
Jak przyjechałam do Szwecji większość mieszkańców była jasnowłosa i niebieskooka, gdzieś tam można było się natknąć na kogoś o ciemnych włosach – byli to przede wszystkim Włosi i Jugosłowianie, których sprowadzano do Szwecji jak po drugiej wojnie światowej, gdy szwedzka gospodarka rozkwitała i byli potrzebni ludzie do pracy w fabrykach i stoczniach. Pierwsi Murzyni, którzy się tu pojawili, to byli amerykańscy dezertjerzy uciekający przed wojną w Wietnamie. Potem pojawili się uciekinierzy przed dyktaturą w Chile i innych krajach Ameryki Południowej. Za nimi ludzie z Iranu, Iraku, dawnej Jugosławii, z Afryki. Jak przyjechałam do Szwecji ludzie o innym kolorze skóry, czy ubrani w jakieś inne stroje, budzili sensację, języki obce zwracały uwagę.

Tu się kończy moja opowieść o drodze do Szwecji i pierwszych z nią kontaktach. Jak Szwecja dziś wygląda, sami wiecie, wystarczy włączyć telewizor, przeczytać gazetę, wyjść na miasto. Nie muszę więc o tym opowiadać. Poza tym jest to już zupełnie inny temat...

Maria Aspt

Niepublikowany tekst przesłany na konkurs „Moja droga do Szwecji” ogłoszony przez Nową Gazetę Polską.

PLOTKI



PRAWDZIWE I ZMYŚLONE

Wpis na FB Janusza Kowalskiego, czołowego oszołoma PiS, a przy okazji wiceministra rolnictwa w rządzie Mazowieckiego: "Tusku, Giertychu, Nitrasie. Rządzie po Was!!". Roman Giertych odpowiada na swoim profilu FB: "No chodź Janusz. Nowy Świat 35/4. Kupiliśmy dla ciebie kaftan bezpieczeństwa, mamy maski ochronne przed twoim ślinotkiem i spokojnie poczekasz u nas na przyjazd karetki. Nitrasa i Tuska nie będzie, ale też ci życzą tego, co dla ciebie najlepsze: izolacji".

Łokalni wariacie nie lepsi. Wymieniany już w *Łtej* rubryce p. Jean Pierre Palenski (pisarz – jak siebie określa) wdał się w dyskusję na FB pod jakimś wpisem mówiącym pozytywnie o Unii Europejskiej. I pisze: "bla bla bla... trzeba być marnotą antypolską by w takie dyrdymały wierzyć!!". Ktoś mu odpowiada: "To won ze Szwecji, z niedobrej Unii i buduj z pistoarami państwo dobrobytu". Ale to jak paliwo dolewane do palącego się ogniska – JPP puszczają nerwy: "Ty durny lewacki śmieciu. Spadaj sam. Dorobniku pieńżny" i chwilę później dalej: "Wy! Żydokomuna!!! Przed wami kłeska i po was kłeska, sukiny!!!". Nietzsche w "Antychryście" napisał: „Ze wiara czasem uszczęśliwia, że szczęśliwość z pewnej idee fixe nie czyni jeszcze prawdziwej idei, że wiara gór nie przenosi, lecz owszem góry osadza tam, gdzie żadnych nie ma: o tym poucza nas przelotne przejście się przez dom wariatów”.

Skoro o wariatach, to jeszcze o jednym, mieszkającym w Stanach Zjednoczonych czyli: "Max Kolonko – upadek gwiazdy. Kiedyś podbił serca widzów, dziś szokuje patostreamami" – jak o nim pisze Beata Czuma w Wirtualnych Mediach. "Stawiano go na równi z Tomaszem Lisem i Kamilem Durczokiem. Od kilku lat Maksa Kolonkę można oglądać tylko na YouTube. Szokuje widzów swoim uwielbieniem dla Putina, propozycjami rozbioru Ukrainy czy groźbami śmierci najważniejszym politykom w państwie. Mariusz Max Kolonko, bo tak się nazywa były dziennikarz (imię Max dodał sobie po wyjeździe do Stanów Zjednoczonych), zbulwersował pod koniec lipca opinię publiczną grożąc śmiercią prezydentowi Andrzejowi Dudzie. – Obywatel Duda będzie pojmany, gdziekolwiek będziesz, i przekazany wagnerowcom. Wydalony z kraju. Ty nie jesteś Polakiem, będziesz przekazany wagnerowcom. To jest gest humanitarny z mojej strony, dlatego, że jeśli ty trafisz do naszych ludzi z Biura Szeryfa Narodu i moim, to ty będziesz umierał długo. Ja ci to mówię. I jeżeli ktoś będzie mówił, że są to groźby karalne, mam to d****. Ja mówię, co będzie. Ja mówię, co zrobię z tobą Duda. Ja cię zapier***ę po prostu, rozumiesz?. /.../ W roku 2019 Mariusz Max Kolonko, coraz rzadziej widziany na ekranie telewizyjnym, tworzy Komitet Wyborczy Wyborców Patriotyczna Rewolucja Maxa Kolonko na wybory parlamentarne. Zapomina jednak zarejestrować list: nie ma ich w żadnym z 41 okręgów wyborczych. To go jednak nie zniechęca. W 2020 roku ogłasza, że wystartuje w wyborach prezydenckich w Polsce, jednak nie udaje mu się zebrać i złożyć wymaganych 100 tys. podpisów. Wreszcie latem 2021 roku Mariusz Max Kolonko ogłasza się prezydentem Stanów Zjednoczonych Polski, a wybranego w lipcu 2020 roku Andrzeja Dudę nazywa prezydentem wybranym nielegalnie, zarzuca mu też, że jest uzurpatorem i przestępcą. Od początku rosyjskiej agresji Kolonko krytykuje polskie władze, na czele z Andrzejem Dudą, za wsparcie Ukrainy. Znieważa prezydenta Ukrainy, Wołodymyra Zeleńskiego. Nie ukrywa, że popiera Putina i proponuje rozbiór Ukrainy na część zachodnią, która miałaby przypaść Polsce oraz wschodnią,

zarządzaną przez Putina. Jego zafascynowanie rosyjskim dyktatorem zaczęło się już wcześniej. W styczniu 2014 roku, tuż przed agresją rosyjską na Ukrainę i aneksją Krymu, Kolonko ogłosił Putina Człowiekiem Roku MaxTV. Jakiś czas temu jako prezydent wygłosił transmitowane na YouTube przemówienie z okazji rocznicy powstania "Stanów Zjednoczonych Polski i Polonii"... Z kolei w artykule Grzegorza Sajara w "Press" czytamy: – Zamknął się w niszy internetowych trolli i freaków. Wyjść z tego świata, gdyby kiedyś chciał, będzie mu bardzo trudno. Raz jest kanonodzieją, raz prezydentem Stanów Zjednoczonych IV Republiki Polskiej, raz handlarzem poświęconych swojej osobie koszulek i gadżetów. Poucza, obraża, wrzeszczy. Znamy to skądinąd ze świata amerykańskich internet celebrities – opisuje Kolonkę Bogusław Chrabota, redaktor naczelny „Rzeczpospolitej”. – Narcyz – określa Kolonkę jednym słowem Magdalena Rigamonti, która kilka lat temu napisała o nim tekst w tygodniku „Wprost”. – Rozmawiałam z nim wtedy, ale to była trudna relacja. Doszło do tego, że zakazał mi pisanie o sobie. W efekcie był chyba jednak zadowolony, że poważny i opiniotwórczy tygodnik go zauważył – wspomina Rigamonti. I dodaje: – Kolonka nigdy nie chodziło o dziennikarstwo, liczyła się tylko jego narcystyczna osobowość. Potrzebował paliwa w postaci popularności. Te jego kanały w sieci to nic innego jak podlewanie egoizmu. Żadna telewizja nie zaproponowała mu pracy, więc bazuje na ludziach, którzy nie mają większej wiedzy i kupują jego pokretną i spiskową logikę”. Najbardziej dobitnie charakteryzuje Kolonkę jeden z dziennikarzy, który z nim pracował: – To świr. Botoks mu przesiąkł do mózgu.

Trafne spostrzeżenie z Facebooka:



Bartosz Scheuer

@BartoszScheuer

Oni z tymi reparacjami są jak facet z zaburzeniami erekcji, który całą randkę opowiadał o swoich niesamowitych możliwościach łóżkowych, ale wcześniej coś popierdzielił, zamiast Viagry wziął Rapacholin i teraz właśnie zdjął gacie...

Daniel Olbrychski w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”: Te wybory to nie jest nawet jakaś dyskusja polityczna, przeciąganie racji politycznych, bardziej w lewo, bardziej w prawo, jestem bardziej za, bardziej przeciw. To będzie konfrontacja – czy zgadzam się na zło, które w jawny sposób zagnieżdżyło się w Polsce i chce się panoszyć przez następne lata. Czy jestem za kłamstwem, złodziejstwem, niszczeniem kraju – czy jestem przeciwko złu. To najprostsze pytanie.

**POLSKI FRYZZJER
W RÅGSVED**
Zapraszam Panie i Panów.
Zamawianie czasu:
0707 335 513

DZIENNIK LETNI

dok. ze str. 3

Daleki jestem od teorii spiskowych, ale nie mam wątpliwości, że wokół nas działają (świadomie lub przez głupotę) ruscy agenci wpływu. By wspomnieć mojego dawnego kolegę ze studiów w Warszawie, który od lat mieszka w Szwecji, a konkretnie w Uppsali. Obserwuję jego profil na Facebooku (nie jest zablokowany dla postronnych) i co jakiś czas doznaję wstrząsu. Gość nie tylko zafascynowany jest szwedzkimi demokratami, ale także socjaldemokratami... Jak on to godzi? – nie mam pojęcia. Od czasu napaści rosyjskiej na Ukrainę niemal codziennie zamieszcza na swoim profilu wypowiedzi z prawicowych portali (często anglojęzycznych), gdzie winę za trwającą wojnę i "wciąganie w nią zachodniego świata" obarcza się Ukraińców. Na jego profilu jest zresztą pomieszczenie z poplątaniem, niegdyś wychwałił Trumpa, teraz nagle pokłada nadzieje, że kandydatem na prezydenta będzie Robert F. Kennedy Jr. (co prawda postać kontrowersyjna i wyznawca teorii spiskowych, ale jednak demokrata).

Niedawno na swoim profilu (w języku szwedzkim) zamieścił własny wpis, który brzmi w tłumaczeniu:

"Nie ma nic złego w Putinie i Rosji. Właściwie Rosja jest po właściwej stronie historii. Problem leży w fałszywej narracji i zniekształconej prawdzie. Ponieważ jesteśmy państwem wasalnym w amerykańskiej strefie wpływów (tu ma na myśli Szwecję – dop. autora), musimy szerzyć nienawiść do Rosji i antyrosyjską propagandę. Dlatego powtarzamy propagandę, którą mamy rozpowszechniać. Bezkrzytycznie i bezrefleksyjnie".

Gdyby to było śmieszne spojrzenie na historię, to bym nie reagował, ale według tegoż pana, to NATO prowokuje wojnę i winne jest sytuacji na Ukrainie. Od wielu miesięcy poprzez swoje wpisy ów gość powtarza dyrdymały głoszone przez Brauna i mu podobnych, że to nie "nasza wojna". W jednym z nich (nie tak dawno) powtarza słowa wątpliwej reputacji dr Leszka Sykulskiego: "Dzisiaj nasze czołgi, jutro nasze dzieci" i propaguje demonstrację pod ambasadą ukraińską w Warszawie pod hasłem: "Niedziela Ukraińskiego Rachunku".

Sykulski to lider antyukraińskiego Polskiego Ruchu Antywojennego, podejrzewany o kontakty z Rosją. Od co najmniej 11 lat jeździ do Rosji i debatuje z tamtejszymi ekspertami. Przedstawiany jest jako znany geopolityk, ciekawy naukowiec, a nawet profesor. Karierę zaczynał w kancelarii prezydenta Lecha Kaczyńskiego i Komisji Weryfikacyjnej WSI Antoniego Macierewicza. Dzisiaj jego drogi z PiS się rozeszły, a nie tak dawno nawet pełnomocnik rządu ds. bezpieczeństwa przestrzeni informacyjnej RP Stanisław Żaryn (też zły sławy) napisał na Twitterze: "Leszek Sykulski jest jednym z komentatorów infekujących polską przestrzeń informacyjną tezami zbieżnymi z przekazem rosyjskiej propagandy przeciwko Polsce".

Wygląda na to, że Sykulski ma swojego "agenta" w Szwecji w Uppsali, a ja ze zdumieniem stwierdzam, że kilku moich znajomych z Facebooka, jest znajomymi mojego byłego kolegi ze studiów. A ponieważ znam ich poglądy, to dziwi mnie, że nadal tolerują znajomość z owym panem. Przy okazji dowiedziałem się z profilu tegoż gościa, że pracował w Polsce jako celnik na Okęciu, i było to w czasach komunizmu, bo znalazł się w Szwecji nieco przede mną. Nic nie sugeruję, ale zawód celnika w tamtych czasach był ściśle związany ze służbami wiadomej proveniencji, więc bym się tym nie chwalił.

Każdy ma prawo do swoich poglądów, ale gdy są to poglądy niezbyt mądre, to nie ma powodu milczeć. Takich cichych "agentów wpływu" Rosji jest w Szwecji zapewne wielu, a wśród Polonii znam jeszcze kilku. (TN)



Jak leczyłem zęby – na nizinach i w górach

Inspiracją dla tego tekstu stała się lektura książki himalaistki Anny Czerwińskiej (1949-2023), której w r. 1999 amerykański dentysta wyrwał ząb w bazie wysuniętej pod Everestem na wysokości 6400 mnpm. Policzył sobie 250 USD z czego pacjentka odzyskała tylko 100 USD od ubezpieczenia Warta. Swe skąpstwo Warta tłumaczyła faktami, że niektórzy ubezpieczający się załatwiali sobie na boku całe protezy.



Zejdźmy niżej, do poziomu morza – Bałtyku lub Adriatyku. Parę dni przed wyjazdem na festiwal filmowy w Pesaro (1968) rozbolał mnie ząb (dolna lewa 4-ka). Poszedłem do dentysty, który otworzył, zatruł, prowizorycznie zamknął i zlecił przyjscie na leczenie po powrocie z Włoch. Już tam pomyślałem sobie, że przecież naprawa zęba w ojczyźnie Dantego będzie o wiele tańsza niż u Strindberga, a ponadto kosztem można przecież obciążyć ubezpieczenie podróży. Tak się też stało i dokonałem naprawy w ciągu kilku wizyt u tamtejszego stomatologa, którego w dodatku poprosiłem o naprawienie innego zęba, bezbolesnego, lecz wątłego, za pomocą plomb i srebrnej korony (wytrzymała dalsze 30 lat). Wszystko to pozwoliło mi później zaoszczędzić sporo innych koron (szwedzkich). Niby nie cała proteza, ale jednak...

Pamiętam także zdziwienie poznanego tam brata-Słowianina, czeskiego krytyka filmowego, którego na spacerze przeprosiłem i pożegnałem tłumacząc się wizytą u dentysty. Zdziwienie ustąpiło, gdy się dowiedział, że nie przyjechałem z Polski, lecz ze Szwecji.

Prostszy okazał się problem w czasie wędrowki (lata 1990.) środkowym odcinkiem Kungsleden w Norrland. Musiałem znosić uporczywy ból zęba przez dwa czy trzy dni, zanim powrót do cywilizacji pozwolił mi podjechać autobusem do Gällivare, gdzie miejscowy dentysta bez wahania ząb ów wyrwał, co umożliwiło mi kontynuację zaplanowanej trasy pieszej wędrowki.

Aleksander Kwiatkowski

Pigułka na piękne sny

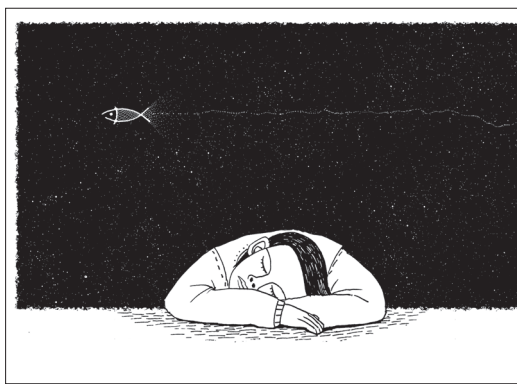
Bezsensowność to kłopotliwa dolegliwość. Niestety przez pewien czas miałam trudności z zaśnięciem. Jest wiele środków nasennych, ale po dwudziestu latach pracy w branży farmaceutycznej nabrałam nieufności do leków. Mój ojciec cierpiący na anginę pectoris brał obecnie wyrejestrowany preparat Mogadon aby łatwiej zasnąć.

Kiedyś, nie wchodząc w szczegóły, zaplikowano mi ten lek. Spałam ciężkim snem i obudziłam się bardziej zmęczona niż przed zaśnięciem. Obiecałam sobie wtedy, że tej terapii nigdy nie powtórzę. Kiedy zaczęła się moja insomnia stwierdziłam, że jedynym lekiem może być melatonina, naturalny hormon ułatwiający zasypianie, wytwarzany gdy zapada mrok. Stosuje się go przede wszystkim u niewidomych dla regulacji rytmu dobowego, a także aby łatwiej dostosować sen po zmianie strefy czasowej, na skutek tak zwanego jetlagu.

Melatonina jest na receptę. Zażyłam przepisaną dawkę. Być może ułatwiła mi zaśnięcie. Ale całą noc nękały mnie nocne mary. Śniło mi się, że jestem na lotnisku i nie mogę znaleźć ani miejsca parkingowego, ani bramki odlotu czy bezcłowego sklepu. Rzykuję, że spóźnię się na samolot. Myślałam, że to przypadek. Ale następnej nocy znów nękały mnie sny. Tylko ich tematyka była inna. Przyjaciółka zwierzyła mi się, że miała podobne doświadczenia po melatoninie. Podobno sennie mary to jedno z jej działań ubocznych. Lek poszedł w nieodwołalną odstawkę.

W sennikach można doszukać się znaczenia pewnych snów. Moja mama twierdziła, że sen o niemowlętach jest zapowiedzią nieszczęścia.

Od tego czasu marzy mi się pigułka na piękne sny. Jest wiele tematów do przyjemnych sennych marzeń, na przykład spotkania ze zwierzętami. Przed laty będąc w Gambii, odwiedziliśmy rezerwat szimpansów. Ogarnęło mnie wtedy silne uczucie więzi biologicznej kiedy szimpans wziął mnie za rękę, a potem skoczył mi w objęcia i z zainteresowaniem zaczął badać moje



przeciwsłoneczne okulary. Nie zapomnę nigdy spotkania z koalą. Te urocze „misie” są chyba najsympatyczniejszymi zwierzętami pod słońcem. Kangury w australijskich parkach narodowych, przywykłe do turystów, lizały mi ręce. Z pingwinami zapoznaliśmy się w Australii na wyspie Philip Island. O zmierzchu, jak na komendę, stada pingwinów wynurzały się z morza i zaczynały wędrowkę do swych gniazd na wzniesieniu nie zwracając uwagi na publiczność. A na wyspie, w cieśninie Magellana, spacerowaliśmy wśród pingwinów. Ustępowaliśmy im drogi, a czasem one dawały nam pierwszeństwo. Kapaliśmy się z pingwinami w pobliżu Kapsztadu, ale krótka była ta kąpiel w lodowatej wodzie.

Z lemurami, wdzięcznymi ogoniastymi małpiakami, zawarliśmy znajomość na wysepce w pobliżu Madagaskaru. Żyli na swobodzie ale, przyzwyczajone do odwiedzin, same szukały kontaktu z nadzieją na poczęstunek. Przezorni turyści mieli ze sobą banany. Łakome zwierzątka lądowały nam na ramieniu i otaczały szyję puszystym ogonem.

Ze spotkań towarzyskich, mimo iż było ich wiele, wspomnę tylko jedno, u przyjaciółki z dzieciennych lat. Czekala nas zawsze uczta, cielesna i duchowa. Kaczka u niej to były delicje, a mąż szczerze dolewał do kieliszków. Była to jednak tylko oprawa. Prawdziwą treść tworzyła przyjaźń trwająca niemal przez całe życie, jako że poznałyśmy się mając po trzy lata. Pandemia uniemożliwiła nam spotkania. Pragnęłabym, aby takie spotkanie mi się przyśniło.

Dużo podróżowaliśmy: rejsy, podróże objazdowe i pobytowe. Rejsy dały dużo przeżyć, ale trudno wymienić konkretne sceny, które chciałabym przeżyć we śnie. Natomiast wycieczki pobytowe to dobry hotel z

all inclusive, przy piaszczystej plaży z morzem bez fal. Kąpię się w podgrzewanym basenie, pozwalam silnym strumieniom wody z otworów pod powierzchnią dobroczynnie masować kręgosłup, a potem, jeśli mam ochotę, wypić w barze kieliszek musującego wina. Pewna pani zwierzyła mi się, że siedząc w gorącym jacuzzi z kieliszkiem schłodzonego dry martini, ma uczucie, że jest w raju. Niech mi się przyśni taki raj.

Hotelowe all inclusive ma tę zaletę, że nie muszę szyć posiłków. Kucharzenie nie było nigdy moim ulubionym zajęciem. Małżonek ma all inclusive w domu przez cały rok. Należą mi się przynajmniej dwa tygodnie takiego komfortu. Lubię zejść do hotelowej restauracji, zamówić jajecznicę ze świeżych jajek, bo ta na bufecie, przeważnie robiona z marmelady, jest niejadalna, w południe i wieczorem delectować się grillowaną rybą czy mięsikiem, albo frytowanymi ośmiornicami, jeśli hotel jest w Grecji, a na deser pałaszować papają skropioną sokiem z limonki. Chcę znaleźć się w takim hotelu we śnie.

Niestety, nie wynaleziono jeszcze pigułki na piękne sny, ale wierzę, że wspominając miłe chwile utrwala się w pamięci i będą się śnić. Czego sobie i Czytelnikom życzę.

Teresa Urban

**Chcesz wydać książkę?
Tomik wierszy?**

Skontaktuj się z nami.
Wydajemy książki polskich autorów
w Szwecji od 1988 roku.
Wydawnictwa niskonakładowe,
niskie koszty.

Napisz do nas, wyślemy ofertę:
polonica@polonica.se

nova gazeta polska

Wydawca/utgivare: Polonica Media
Adres pocztowy/adress: POLONICA att. Tadeusz Nowakowski, Brödbacken 6, 572 73 Kristdala
Telefon: +46-73 98 53 615 E-post: polonica@polonica.se www.polonica.se
Redaktor odpowiedzialny/ansvarig utgivare: Tadeusz Nowakowski ISSN 1103-3339
Druk/tryck: ProPrint, Polen Naklad/upplaga: 3.000 ex
Redakcja nie płaci honorariów autorskich.



Nova Gazeta Polska samarbatar med KAPI Marketing som är specialister på mangulturell insikt, kommunikation och media. 08-510 144 55 info@kapimarketing.com



KANCELARIA ADWOKACKA ADWOKAT JERZY MISIOWIEC

Sprawy cywilne, karne, rodzinne, spadkowe, odszkodowania, zakładanie i obsługa prawna firm, prawo pracy. Pomoc w uzyskiwaniu zwolnienia z kosztów sądowych (rättshjälp, rättsskydd).

Advokatfirman
Jerzy Misiowiec AB
Krukmakargatan 33 A, 1/2 tr
118 51 STOCKHOLM
T: 08-679 65 31
Fax: 08-458 11 27



ADVOKATFIRMAN Z kancelaria adwokacka

Prawo karne, rodzinne, społeczne i migracyjne
Advokat Monika Zytomska
mówi po polsku.
Pierwszy kontakt mailowy lub telefoniczny jest zawsze nieodpłatny.

STRONA INTERNETOWA:
www.advokatfirmanz.se/pl
TEL: 08-21 44 40
info@advokatfirmanz.se
ADRES: Östermalmstorg 1
114 42 Stockholm



MBL

Redovisning & Konsulting AB

- ▶ Księgowość, administracja, rejestracja wszystkich rodzajów firm.
- ▶ Doradztwo ekonomiczne.
- ▶ Sporządzanie årsbokslut, årsredovisningar.
- ▶ Sporządzanie deklaracji rocznych osób prywatnych i firm.
- ▶ Pomoc w załatwianiu spraw w urzędach szwedzkich.

Bożena Ziemia
Hästholmsvägen 28, 131 30 Nacka
Tel. +46 (8) 30 40 80
e-mail: bozena@mbredovisning.se



Jurek Hirschberg
tłumacz przysięgły
z języka szwedzkiego na polski
z języka polskiego i angielskiego
na szwedzki

070-626 38 34
jurek.hirschberg@hirschberg.se
www.hirschberg.se
Sportstugevägen 6B, 182 35 Danderyd



**Service, problemy
z przeglądem
technicznym, naprawy
powypadkowe,
elektryka i elektronika
samochodowa
ustawianie zbieżności**



Birka Bilelektronik Service
Sztokholm: Birkagatan 20 Tel: 08-34 15 68 (Andrzej)
boschbilservice@bredband2.com
pon-piąt. 9-17 (lunch 13-14)
www.birkabilverkstad.se

Nowy właściciel - warsztat z wieloletnim doświadczeniem



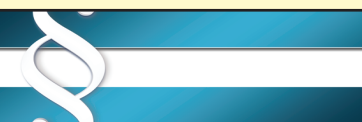
ADVOKATERNA BIGOSINSKI & BIGOSINSKA AB

SPRAWY rodzinne
gospodarcze - karne - pracy
budowlane - dotyczące najmu

Advokat
Anita Bigosinska
Advokat
Douglas Bigosinski
Senior advisor, adwokat
Andreas Bigosinski
Aplikant
Wiktorija Moczek
Aplikant
Tomas Lesniewski



TEL: 08-663 20 40
info@advokatbigosinski.com
VALLHALLAVÄGEN 52
114 27 STOCKHOLM



KANCELARIA PRAWNA jur kand Anna Cieślak jur kand Victoria Cieślak

Prawo rodzinne. Prawo spadkowe.
Prawo pracy. Odszkodowania.
Roszczenia. Spory cywilne.

Pierwsza porada bezpłatna.
Pomoc w kosztach sądowych.

T: 070 755 3810
T: 070 482 9975

anna@juristfirmancivia.com
victoria@juristfirmancivia.com
www.juristfirmancivia.com

Agentur PolArt zaprasza

Kabaret Ani Mru-Mru



INTIMAN

Odenplan 81 T - Odenplan

Niedziela 1 października 2023 godz. 18:00

PRZEWOZY PASAŻERSKIE PACZKI I PRZESYŁKI

24h 50 SEK

SZWECJA

POLSKA

WiFi DVD VIDEO

MaxPol

GWARANCJA NAJNIŻSZEJ CENY!